

ANDRZEJ KIJOWSKI

LISTOPADOWY WIECZÓR



Andrzej Kijowski

Listopadowy wieczór

Wersja Demonstracyjna



Wydawnictwo Psychoskok
Konin 2018

Andrzej Kijowski
„Listopadowy wieczór”

Copyright © by Andrzej Kijowski, 1972
Copyright © by Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o. 2018

Zabrania się rozpowszechniania, kopiowania
lub edytowania tego dokumentu, pliku
lub jego części bez wyraźnej zgody wydawnictwa.

Tekst jest własnością publiczną (public domain)

ZACHOWANO PISOWNIĘ
I WSZYSTKIE OSOBLIWOŚCI JĘZYKOWE.

Skład: Adam Brychcy
Projekt okładki: Adam Brychcy
Druk: Zakłady Graficzne w Toruniu
Wydawnictwo: Państwowy Instytut Wydawniczy
Warszawa, 1972

ISBN: 978-83-8119-310-8

Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o.
ul. Spółdzielców 3, pok. 325, 62-510 Konin

tel. (63) 242 02 02, kom. 695-943-706

<http://www.psychoskok.pl/>

<http://wydawnictwo.psychoskok.pl/>

e-mail:wydawnictwo@psychoskok.pl

Rewolucje i literatura

Między rokiem 1820 a 1863 odbyło się w Europie ze dwadzieścia rewolucji, z których większość była dziełem spisków wojskowych oraz studenckich; ponieważ owi oficerowie i studenci na ogół nie przekraczali trzydziestki, w dzisiejszym języku nazwalibyśmy te spiski „młodzieżowymi”. Tak więc historię polityczną Europy w XIX wieku w jakiejś jednej trzeciej zapisała młodzież.

Te rewolucje — w Grecji, w Neapolu, w Hiszpanii, w Belgii, we Francji, w Polsce, w Niemczech, w Czechach, w Austrii, na Węgrzech, w Rosji, w Piemoncie i Bóg wie gdzie jeszcze — te rewolucje, czasem kilkudniowe, czasem nawet bezkrwawe i znajdujące epilogi tylko na salach sądowych, czasem farsowe nawet i sztubackie, modyfikowały jednak w znacznej mierze politykę rządów, przyspieszały sojusze lub wywoływały konflikty międzynarodowe, były stawką w dużej grze. Żaden z owych spisków nie objął nigdy władzy. Sukcesy poszczególnych rewolucji, np. włoskiej, pochodziły z koniunktur szerszych, międzynarodowych. Spiski młodzieżowe nie zmieniły w niczym ani mapy Europy, ani jej oblicza politycznego. Kontynent nasz w roku 1864, to znaczy po upadku ostatniej romantycznej rewolucji, naszej, „styczniowej”, wyglądał prawie tak samo jak w roku 1815, to jest po kongresie wiedeńskim. Zmiany nastąpiły we Włoszech i w Belgii, lecz w obu wypadkach

wynikały one z wielkiej gry mocarstw. Nastąpiły również pewne zmiany wewnętrzнопolityczne, np. w Austrii, lecz spowodowały je klęski Wiednia w wojnie z Prusami i konieczność wycofania się z Włoch pod presją Francji. W żadnej z istotnych zmian w Europie nie uczestniczyły siły, które domagały się owych zmian — nawet jeśli ich kierunek zgodny był z wysuniętymi niegdyś żądaniami. Wszystkie rewolucje zostały stłumione, wszystkie spiski rozproszone. Do wielkiej wojny roku 1914 Europa przystępowała w takim stanie politycznym, w jakim zostawiła ją poprzednia wojna kontynentalna — napoleońska. Zmiany istotne nastąpiły dopiero w wyniku wojny; ściślej, w ciągu ostatniego jej roku, może w ciągu ostatnich jej miesięcy. Jeszcze w pierwszych miesiącach roku 1917 była się Europa monarchistyczna i legitymistyczna, a wszystkie plany dotyczące powojennego układu kreślone były zgodnie z tymi samymi zasadami dziedzictwa dynastycznego i zasadniczego „status quo”, co na kongresie wiedeńskim. Mocarstwa centralne były o krok od zwycięstwa jeszcze latem 1918 roku. Niemcy byli w środku Rosji, rabowali zboże ukraińskie i naftę kaukaską; stali o kilkanaście kilometrów od Paryża i bombardowali miasto z armat. Gdyby zdołali narzucić rokowania pokojowe przed klęską Ludendorffa, z wojny wyłoniłaby się zmodyfikowana nieco na korzyść Niemiec Europa Metternicha. Ponieważ stało się na odwrót, do stołu obrad w Wersalu w kilka miesięcy później zasiadła Europa romantyczna, to znaczy nacjonalistyczna. Zasada samostanowienia narodów, umieszczona w słynnych punktach Wilsona, była w gruncie rzeczy spełnieniem wszystkich romantycznych aspiracji i rewindykacji. Mapa Europy wyrysowana została mniej więcej tak, jakby była dziełem owych oficerów i studentów

węgierskich, czeskich, serbskich, rumuńskich i jakich tam jeszcze, co przez cały dziewiętnasty wiek snuli marzenia o idealnych granicach, w których każdy naród będzie mógł swobodnie i bezpiecznie rozwijać swą osobowość. Nie wiedzieli jeszcze, że granice takie są niemożliwe, bo się narody nazbyt ze sobą przemieszały, i że zasada narodowych państw jest sprzeczna z istniejącym stanem rzeczy. Nie wiedzieli jeszcze, że taka Europa narodów zaspokojonych dopiero jest ogniskiem wojny.

Ruchy rewolucyjne dziewiętnastego wieku były w pewien sposób szczęśliwe, ponieważ nie miały za sobą historii. Nie było w historii nigdy czegoś podobnego do powstań narodowych albo buntów młodzieży. Spiskowcy lat dwudziestych i trzydziestych mieli pełne prawo wierzyć w swoje siły i racje. Tylko temu zawdzięczali niepojętą dla nas łatwość układania programów ideowych, snucia planów rewolucyjnych oraz przystępowania do akcji. Dzisiaj ideologie społeczne są rozwiniętą dziedziną wiedzy — wtedy należały do sfery wyobraźni, i tworzone je swobodnie, jak się wiersze tworzy. Dzisiaj taktyka rewolucji, technika konspiracji i zamachu stanu zostały naukowo opracowane i posiadają obfitą literaturę, tak historyczną, jak teoretyczną. W dziewiętnastym wieku były również zdane na geniusz improwizatorski. Rozważając błędy popełniane przez np. polskich powstańców w roku 1830 albo w 1863, trzeba pamiętać właśnie o tym, jak nikła była wówczas wiedza historyczna — przynajmniej ta, która odnosiła się do nowożytnej Europy. Podstawą wykształcenia historycznego były dzieje Grecji i Rzymu; historii nie traktowano jako wiedzy odrębnej, lecz posługiwano się nią jako zasobem przykładów

prawnych i moralnych. Maurycy Mochnacki w swej Historii powstania narodu polskiego przypominał, że nie spisano dziejów ani konfederacji barskiej, ani insurekcji kościuszkowskiej i że on pierwszy podjął się tego typu historii, nie będącej pochwałą jakiegoś monarchy, rejestrem jego czynów ani dysertacją nad stanem państwa, lecz obiektywnym przedstawieniem wydarzeń, których bohaterem jest zbiorowość — naród. Mochnacki pisze również o błędach, jakie popełniali powstańcy wszystkich trzech pokoleń — barszczanie, kościuszkowcy i „listopadowcy” — dlatego właśnie, że nie znali doświadczeń swych poprzedników. Ludzie dziewiętnastego wieku tworzyli historię jakościowo odmienną od historii wieków poprzednich (która toczyła się torami raz wytyczonymi przez niewzruszone zasady królewskiego i religijnego prawa), tworzyli tę historię zupełnie na ślepo, za całą wiedzę mając konwencjonalne wiadomości o podobnych — jak im się zdawało — wydarzeniach w Rzymie. Pełnej wiedzy na ten temat mogła im dostarczyć wielka rewolucja francuska — ale czy ją dobrze znali? Czy nie była ona jakimś tabu? W każdym razie zdumiewa rzadkość odwołań do jej doświadczeń w publicystyce ówczesnej oraz w historii. Więcej — powtarzam — analogii np. ze spiskiem Brutusa niż z francuskimi wydarzeniami, tak jeszcze niedawnymi, spotyka się w polskiej prasie powstańczej, w późniejszych pamiętnikach i opisach historycznych. Co więcej, w praktyce nie widać nauk lat 1789 — 1793!

Szczyty improwizacji osiągnęli rosyjscy dekabryści. Ich powstanie w grudniu 1825 roku mogłoby stać się po prostu szkołą błędów, a ich zachowanie przed wypadkami petersburskimi, podczas wypadków i później, w śledztwie,

mogłoby posłużyć za materiał do napisania podręcznika z dziedziny patologii spiskowej. Dlaczego w ogóle powstanie to wybuchło? Tajne związki, które w nim wzięły udział, istniały już w Rosji od dziesięciu prawie lat. Zajmowały się układaniem konstytucji dla przyszłej Rosji, prowadziły dyskusje, bardzo piękne z pewnością, nad sprawą chłopów, nad stosunkiem Rosjan do podbitych narodów, nad federacyjną czy też centralistyczną formą przyszłej Rosji, nad tym, czy republika lepsza jest od monarchii i czy Rosja bez cara w ogóle istnieć może, czy godzi się zabijać cara i jego rodzinę dla dobra przyszłych pokoleń, czy też z krwi przelanej jeszcze większe zło nie wyniknie, a nadto, czy zbrojny zamach jest w ogóle godziwą formą sięgania po władzę i w jakich okolicznościach zamach taki mógłby nastąpić. Chwiejność spiskowców zależna była od chwiejności samego cara. Wszak to Aleksander I sam zapowiedział udzielenie Rosji konstytucji liberalnej, a poprzednio optował za konstytucjami takimi dla państw niemieckich i podpisał konstytucję dla Królestwa Polskiego. Co więcej, sam patronował pierwszym tajnym związkom, które miały wypracować nowe, konstytucyjne zasady ustrojowe i pomóc mu w rozprawie z biurokracją i kamarylą[1] dworską. Tak właśnie powstał w kręgu jego najbliższych przyjaciół Związek Rycerzy Krzyża Rosyjskiego oraz Związek Prawdziwych i Wiernych Synów Ojczyzny, przekształcone później w Związek Dobra Publicznego, od którego już prosta droga wiodła do spisku grudniowego. Związek Dobra Publicznego miał już prawie otwarcie opozycyjny charakter, ponieważ w tym czasie car wyraźnie porzucił drogę reform liberalnych, a ulegać począł kręgom reakcyjnym. Łatwo to jednak dzisiaj używać takich słów, jak „otwarcie”, „wyraźnie”! Dla współczesnych nic nie jest

wyraźne i jednoznaczne. Nawet Polacy w guberniach zabranych i w Królestwie wierzyli liberalnym obietnicom cara, a cóż mówić o oficerach, którzy z nim razem bili się i maszerowali przez Europę do Francji, i z nim razem uczyli się we Francji zasad konstytucjonalizmu. O tym, jakie pomieszanie pojęć wśród nich panowało, niech zaświadczy fakt następujący: otóż pierwsza myśl zabicia Aleksandra powstała w kołach spiskowych na wiadomość, że car zamierza oddać Polakom gubernie litewskie i ruskie, a rzekome wpływy polskie na dworze były główną przyczyną niechęci, jaką powzięli dla cara jego towarzysze broni. Plany owych „Rycerzy Krzyża” i „Prawdziwych i Wiernych Synów Ojczyzny” były bowiem wielkorosyjskie, mocarstwowe. Narodom podbitym nic nie obiecywano w zakresie swobód i autonomii: objęte dobrodziejstwami rosyjskiej konstytucji, miały w przyszłości stworzyć jeden wielki naród rosyjski. Inaczej myśleli tylko członkowie Stowarzyszenia Zjednoczonych Słowian, którym marzyła się ogromna federacja Rosjan, Polaków, Ukraińców, Czechów, Węgrów, Mołdawian, Wołochów, Serbów, Bułgarów, Chorwatów, Dalmatów, między czterema morzami rozpostarta, mająca w herbie cztery kotwice, symbolizujące Morze Północne, Czarne, Adriatyk i Bałtyk, złączone w jedną dziedzinę polityczną; miała być równość między narodami, z których każdy własną miałby konstytucję i wolność wstępowania do federacji czy występowania z niej. Centralny parlament miał składać się z Soboru Najwyższego i z Izb Reprezentantów. „Słowianie” ostatecznie przystąpili do pozostałych związków; w toku pertraktacji z polskim Towarzystwem Patriotycznym zgodzono się Polakom zagwarantować wolność, chociaż nie gwarantowano im granic wschodnich. Ustępstwa te miały praktyczny cel: chodziło o to,

by Polacy wystąpili równocześnie z rosyjskimi związkami i zatrzymali u siebie wielkiego księcia Konstantego z wojskami.

Wszystko to było palcem na wodzie pisane, a żadnej zgody co do sposobnej wystąpieniu okoliczności nie było wśród spiskowców. Zelektryzowała ich śmierć Aleksandra oraz zamieszanie, jakie powstało w związku z niepewnym następstwem tronu. Aleksander nie miał wszak syna — tron po nim należał się Konstantemu. Ten zrzekł się tronu, lecz aktem potajemnym, który nie był znany ogółowi. Natychmiast po śmierci Aleksandra urzędy i wojsko złożyły przysięgę na wierność Konstantemu, który, w Warszawie siedząc, ani abdykacji nie potwierdzał, ani korony nie przyjmował. Mikołaj postanowił stworzyć fakty dokonane: ogłosił, iż Konstanty zrzekł się tronu na jego rzecz, i wezwał wojsko, senat i urzędy do złożenia przysięgi przed nim jako carem prawowitym. To całe zamieszanie postanowili wykorzystać spiskowcy. Odbywali gorączkowe narady, w czasie których wszyscy oficerowie oświadczyli, że nie można liczyć ani na jednego nawet zwolennika wśród żołnierzy, ponieważ nie prowadzono w tym kierunku żadnej propagandy. Mikołaj nie był popularny wśród mieszkańców Petersburga, ponieważ zrażał do siebie ludzi charakterem wyniosłym i despotyzmem. To wszystko, na czym by się oprzeć można w razie wystąpienia przeciw niemu. Ale i Konstanty nie był popularny: znane były jego głupota, dzikość, brutalność, a małżeństwo z polską szlachcianką także nie dodawało mu uroku. Któż chciał mieć „Polaczkę” za carową! Wobec tych wszystkich okoliczności obłąkanym wydać się musi pomysł spiskowych zmobilizowania wojska i opinii w imię zachowania wierności Konstantemu.

Ale wyniknęło to z niesamowitego przypadku, który skłania do najdziwniejszych refleksji na temat mechanizmu wydarzeń historycznych. Otóż w dniach powszechnego rozgardiaszu, kiedy spiskowcy wciąż nie wiedzieli, co mają robić, przyszedł do nich oficer, nie będący członkiem sprzysiężenia, lecz „po koleżeńsku” o nim poinformowany, i powiedział im, że będąc przyjacielem Mikołaja, uznał za stosowne przestrzec go przed przyjęciem korony wobec licznych spisków przeciw niemu w pułkach petersburskich. Mikołaj ucałował w oba policzki wiernego druha, ten zaś, nie chcąc sprzeniewierzać się przyjaźni, jaką chował jednocześnie dla spiskowych, uznał za konieczne wyjawić im swą rozmowę z carem. Oficerowie przedyskutowali między sobą zawiły problem honorowy: czy przybysza uznać za zdrajcę i zastrzelić na miejscu, czy też uznać jego otwartość i lojalność. Zwyciężyła opinia druga, wobec czego wszyscy ucałowali go serdecznie. Potem zastanowili się, co robić dalej: Mikołaj przedsięwzięcie na pewno ostre środki, zatem wszyscy są zgubieni. Można ukorzyć się przed nim i przyjąć karę, można rozproszyć się i uciekać za granicę, można wreszcie zaryzykować walną z nim rozprawę. Wybrano to trzecie, nie mając planu, wojska, dowództwa — nic! Narada skończyła się wieczorem, postanowiono zaczynać nazajutrz rano.

Dalszy ciąg wypadków jest znany. Spiskowcy zdołali wprowadzić na plac Senacki około trzy tysiące żołnierzy. Zamiarem ich było sterroryzowanie gmachu senatu, gdzie senatorowie i wyżsi urzędnicy mieli składać tego dnia przysięgę. Zamierzali aresztować cara i jego rodzinę, zająć Pałac Zimowy, Twierdzę Pietropawłowską, ustanowić rząd tymczasowy i zmusić

go do ogłoszenia manifestu, zapowiadającego uwolnienie chłopów, wybory, konstytucję, zniesienie stałej armii etc. Żołnierze stali siedem godzin na wicherze i mrozie; na rozkaz swych dowódców, których było około trzydziestu na placu, odpowiadali strzałami na ataki pułków wiernych cesarzowi. Nie wiedzieli zupełnie, o co chodzi. Rozproszyli się, gdy artyleria oddała do nich pierwszą salwę. Kilkaset trupów zasłało plac. Zbierano je całą noc i wrzucano do Newy; podobno wrzucano tam także rannych. Zgarniano zakrwawiony śnieg, usuwano wszelkie ślady walki, aby czysto było nazajutrz w stolicy.

A spiskowcy? Dyktator powstania, wybrany przed paroma dniami, książę Trubecki, wcale nie zjawił się na placu. Błąkał się po mieście, hamletyzując, czy godzi się walczyć z carem. Wyznaczony dowódcą zbuntowanych na placu Jakubowicz przez cały czas walki stał wiernie przy cesarzu. Rylejew, który rzucił myśl podjęcia walki bez przygotowania i zapowiadał, że stanie pośród żołnierzy przebrany w kaftan chłopski, też zniknął z placu, i nie wiedzieć gdzie się podziewał przez cały dzień. Dzielnie walczyli bracia Bestużewowie, ale również tak postępowali, jakby nie byli oficerami, lecz chłopcami bawiącymi się w Indian. Kiedy Michał Bestużew zobaczył, że już wszystko na placu stracone, że pod ogniem kartaczy pękł cały czworobok, porwał za sobą garstkę żołnierzy i wbiegł na zamarzniętą Newę, aby — jak pisze we wspomnieniach — zdobyć Twierdzę Pietropawłowską, opanować jej działa i zbombardować Pałac Zimowy. Zaznaczam, że Newa jest tam szeroka jak Wisła pod Warszawą, że do twierdzy od tego miejsca jest tak daleko, jak od mostu Śląsko-Dąbrowskiego do mostu Poniatowskiego, że sama twierdza jest potężnym blokiem fortyfikacji, wzniesionym

na wyspie. Te wszystkie przeszkody miał Bestużew pokonać przy pomocy kompanii żołnierzy, a przy tym nie zauważył, że na moście, który go od wyspy dzielił, ustawiono już armaty. Wyprawa skończyła się masakrą — osiemdziesiąt trupów zostawił Bestużew na Newie, a sam uciekł. Rano, w galowym mundurze, poszedł do Pałacu Zimowego oddać się w ręce cara.

Oddali się wszyscy. W czasie śledztwa dyskutowali z carem, pisali memoriały o stanie państwa, dali się przekonać, że car również chce liberalnych reform w Rosji, wsypywali się nawzajem, oskarżali, sprzecjali o racje, winy, błędy... A przy tym byli to ludzie niewątpliwie szlachetni, mądrzy, wyprzedzający swą epokę. Pięciu skazanych na śmierć umarło w sposób, który dla kilku następnych pokoleń rewolucyjnych był przykładem męstwa i godności. W archiwach komisji śledczej narosły olbrzymie akta sprawy, która po dziś dzień jest nieprzebranym źródłem myśli gorących, świetnych planów, poetyckich wizji.

Jedno w tym wszystkim zdumiewa: łatwość, z jaką ci ludzie dysponowali życiem innych. Gdy się czyta wspomnienia dekabrystów, pisane przeważnie później, na zesłaniu, uderza ich zupełna obojętność na losy masy żołnierskiej, którą dysponowali. Podkreślają nieustannie „męstwo” żołnierza, który stał na wicherze, bez jedzenia, bez kropli wody, naprzeciw wymierzonych w niego dział i karabinów, i nie cofał się. Oczywiście: żołnierz przyzwyczajony jest słuchać bezpośredniego dowódcy. Szeregowy słucha kaprała, ten sierżanta, sierżant porucznika. Opatulony w swój mundur, obarczony ciężkim rynsztunkiem, żołnierz „jako młyn palny, nabija, grzmi, kręci”, zupełnie nie wiedząc, o co chodzi. Rylejew

proponował w ciągu nocy z 13 na 14 grudnia nadrobić braki propagandy w ten sposób, że spiskowcy mieli rozbiec się na miasto, zatrzymywać napotykanych żołnierzy, zaczepiać wartowników i tłumaczyć im, co to jest konstytucja. Skutek był taki, iż jak głosi znana anegdota, żołnierze „zbuntowanych” rot wołali: „Niech żyje konstytucja!”, myśląc, że chodzi o żonę wielkiego księcia Konstantego. „Aby zorientować się, jakie nastroje panują wśród żołnierzy — pisze Michał Bestużew — podszedłem do kaprała Lubimowa. — Cóż to, Lubimow, tak się zamysliłeś, pewnie marzysz o swojej młodej żonie? — powiedziałem, klepiąc go po ramieniu. — Nie żona mi teraz w głowie, wasza wielmożność. Miarkuję sobie, dlaczego stoimy w miejscu: proszę spojrzeć, słońce już zachodzi, nogi ścierpły od długiego stania, ręce zdrętwiały od zimna, a my wciąż stoimy.” Bestużew uznał tę skargę żołnierza za dowód jego wielkiej ochoty do walki i odrzekł raźnie, w lejtnanckim stylu: „Poczekaj, Lubimow, pójdziemy jeszcze! Rozprostujesz ręce i nogi.” (Pamiętniki dekabrystów, t. I, s. 91, W-wa 1960). Zdaje się, że zupełnie podobnie wyglądała rewolucja lutowa 1917: żołnierz znajdował się w pułku wiernym cesarzowi lub w pułku rządowym, ale jaka je różnica dzieliła, pewnie nie wiedział, zwłaszcza że wojna trwała. Dopiero bolszewicy zrozumieli, że rewolucję zaczyna się od propagandy. Dlatego wygrali. Otóż jeśli mówimy, że historię XIX wieku stworzyła w dużej części młodzież, dodajmy: obłąkana, niedojrzała, okrutna dla siebie i dla tych, którym chciała nieść wolność.

Jest nadto przepaść wyraźna między rewolucyjno-narodową polityką tego stulecia a literaturą, która te same idee wyraża. Jest różnica między romantyczną polityką a romantyczną

poezją. Ta druga jest czysta, konsekwentna i rozumna. Ta pierwsza... Czasem mówi się, że romantyczną politykę tworzyła romantyczna literatura i że to właśnie było dla polityki zgubne. Nieprawda: literatura była pisaną korekturą obłądnych czynów. Literatura rehabilituje politykę. Zawsze jest idealnym obrazem ludzkich dążeń i czynności, które w praktyce z reguły są ułomne.

Ciemności romantyczne

W historii różnych literatur mówi się o rewolucji romantycznej, mając na myśli jakiś utwór literacki, który ją sprawił, jak np. Zbójców Schillera, albo ostrą konfrontację idei literackich, jak ta np., która nastąpiła w Komedii Francuskiej na słynnej premierze Hernaniego Wiktora Hugo. Polska jest jedynym krajem, w którym rewolucja romantyczna miała przebieg zbrojny. Na premierę Hernaniego młodzi poeci, malarze, dziennikarze przyszli w fantastycznych strojach, uzbrojeni w lagi, i tłukli publiczność witającą gwiazdami dzieło ich ukochanego mistrza. W Polsce młodzi poeci, malarze, dziennikarze przyszli na swą premierę uzbrojeni w karabiny i sztylety, a celem ich było zabicie rosyjskiego księcia, brata carskiego. Niemieccy wyznawcy Schillera i francuscy Wiktora Hugo znali konsekwencje buntu, jaki podnosili: szło im o nową miarę piękna. Polscy zamachowcy konsekwencji tych nie znali, albowiem niepewni byli narodowej i politycznej sprawy, w imię której szli przelewać królewską krew. Szło im o nową miarę

prawa, lecz nie wiedzieli jeszcze, gdzie jej szukać, albowiem narodzili się w monarchicznym świecie, a innego nie znali.

To wcale niełatwo pojąć. Jesteśmy mieszkańcami kontynentu, który ktoś — Apollinaire chyba — nazwał „wyspą wygnanych królów”. Tu i tam utrzymują się jeszcze te żywe zabytki dawnej przeszłości — monarchowie; kontrolowani przez parlamenty, podpatrywani przez opinię publiczną, pozbawieni władzy, swobody ruchów, nawet nie bardzo bogaci, podobni są bardziej do więźniów stanu niż do władców. Druga wojna światowa wymiotła ich z Półwyspu Bałkańskiego i z Włoch; wojna pierwsza z Europy wschodniej i środkowej. Zanim zaczęto ich wyganiać, zabijano: połała się krew Habsburgów, Romanowów, Georgiewiczów; począwszy od ostatniej ćwierci XIX wieku aż do wybuchu pierwszej wojny światowej monarchowie oraz członkowie ich rodzin nie byli pewni ani dnia, ani godziny. Terrorysty z najróżniejszych organizacji tajnych rzucali bomby pod koła powozów, strzelali w teatrach, w salach wystawowych. W 1881 r. zginął car Aleksander II, w roku 1898 cesarzowa Austrii; na terror zamachowców monarchie odpowiadały terrorem policyjnym. W miarę jak ten ostatni rozszerzał się i utwierdzał, łamiąc coraz bardziej prawa obywatelskie, opinia europejska skłaniała się na stronę zamachowców. Z końcem XIX wieku królobójstwo stawało się cnotą polityczną. W początkach tego stulecia było jeszcze zbrodnią. Większość spiskowców rosyjskich przed grudniową rewolucją 1917 roku przeciwna była użyciu broni przeciw carowi i jego rodzinie. Skrupuły ten zaważył na całym ruchu dekabrystowskim i spowodował jego wewnętrzne rozbieżności; zarazem myśl o zabiciu cara, którą żywiła część spiskowców, odepchnęła od nich wielu ludzi skądinąd

sprzyjających dziełu reformy. 14 grudnia 1825 roku spiskowcy dali się na placu Senackim w Petersburgu otoczyć wojskom wiernym cesarzowi; nie odważyli się podjąć walki w obecności monarchy. Wydarzenia te powtórzyły się w cztery lata po tym w Warszawie, gdy car przybył koronować się tu na króla polskiego. Plan zabicia cara i całej jego rodziny spełził na niczym, spisek zawiązany po temu rozwiązał się po prostu w przeddzień koronacji. Sprawa zabójstwa wielkiego księcia Konstantego była najbardziej sporna i drażliwa w planach przedpowstańczych. Nie udał się zamach przygotowany na carskiego brata na dzień 11 października. Miano doń strzelać na placu Saskim podczas zwykłej parady. W ostatniej chwili wielki książę wziął pod rękę generała Chłopickiego i począł się z nim przechadzać w przyjaznej rozmowie. Następnym zamachem wyznaczono na grudzień tego samego roku, lecz wojskowi odmówili udziału. Uznali, że przelana krew carska splamiłaby mundur oficerski. Zamachu podjęli się cywile. Szkoła Podchorążych zobowiązała się tylko „kryć” ich, w razie gdyby nadciągnęła odsiecz.

Polacy mieli jeszcze w pamięci błąd konfederatów barskich, którzy porwali króla Stanisława Augusta; najbardziej patriotyczna opinia poczytywała ten czyn konfederatów za błąd moralny i polityczny: moralny, albowiem splamili się „królobójstwem” (co prawda król wyszedł z zamachu tylko podrapany...), polityczny, albowiem zrazili do swej sprawy najcenniejszych sojuszników, tj. Austrię i Francję. Było to na długo przed styczniowym dniem 1793 roku, kiedy Ludwik XVI oddał głowę na szafocie. Historia rewolucji francuskiej w oczach liberalnej opinii europejskiej dzieli się na dwie epoki: jedną

z nich przyjmowano w całej rozciągłości, drugą odrzucano, a granicą między tymi epokami była śmierć króla. Od tego też momentu zaczyna się zmierzch samej rewolucji: ten wyrok, wykonany wśród huku bębnow, pośród milczących oddziałów wojska, był krokiem uczynionym w próżnię historyczną. Gotowe już były prawne zarysy przyszłej republiki, lecz jej nie było jeszcze w sercach i umysłach ludu: „...jeszcze na szafocie żołnierze i inni... zwilżali broń, papiery, bieliznę krwią, która została... Podczas przejazdu ledwie kilka kobiet odważyło się krzyczeć o łaskę, ale po egzekucji wielu ludzi tkniętych było gwałtownym poruszeniem bólu. Jakaś kobieta rzuciła się do Sekwany, pewien fryzjer podciął sobie gardło, pewien księgarz zwariował, dawny oficer umarł ze wzruszenia. Można było oglądać tę rzecz fatalną, że Monarchia... zmartwychwstawała siłą litości i godnością krwi...!”

Tak pisze Michelet. Lecz to nie litość tylko była, ale ludowy lęk przed przyszłością, której formą zbyt abstrakcyjną były prawne projekty wymownych adwokatów z Konstytuanty — zbyt abstrakcyjną, by zrównoważyć pradawną tradycję monarchiczną. Lud widział niesprawiedliwość społeczną, ucisk, samowolę, i gotów był walczyć przeciw złu uosobionemu — przeciw złemu panu, a nawet przeciw złemu królowi. Nie był gotów na to, aby króla karać, bo się jeszcze nie poczuł w prawach sędziego; nie był gotów na to, aby zostać bez króla, bo się jeszcze nie czuł suwerenny. Obraz świata był religijny: Bóg był królem najwyższym, królowie ziemscy jego następcami, urzędnikami, dzierżawcami — złymi, jak wszyscy prawie zastępcy, urzędnicy i dzierżawcy, lecz ich władza miała gwarancje boskie. Zabicie króla było zamachem na

suwerenność Boga. Religia była dotąd prawem, od wyroku na Capeta zaczynała się religia prawa; znali ją jednak tylko jej kapłani: prawnicy, teoretycy, mówcy. I nikt poza nimi. Krew królewska podzieliła Francję i Europę, zjednoczyć ją miała na powrót królewska sakra Napoleona Bonapartego. Korsykanin wiedział, czego zabrakło Francji i Europie, gdy postanowił włożyć koronę na głowę.

Wiedział także Aleksander I, czego zabrakło Polakom, gdy przybywał do Warszawy koronować się na konstytucyjnego króla polskiego. Może się wydać niesłychane to, iż ówczesni Polacy po doświadczeniach trzech rozbiorów uwierzyli w polskiego króla, znów, jak przed wiekami, zaprzysięgającego pacta conventa, choć ten król nad dwiema trzecimi dawnych ziem polskich panował jako despota. Niezrozumiałe wydaje się to, że wierzyli jeszcze królowi następnemu, Mikołajowi, chociaż im w mowie tronowej surowo zapowiedział, aby nie mieli żadnych złudzeń co do wolności konstytucyjnej i połączenia z ziemiami zabranymi. Może na koniec wydać się nieprawdopodobne to, że jeszcze w pierwszych miesiącach powstania wierzyli, iż nie przeciw królowi walczą, lecz konstytucyjnego króla Mikołaja wspierają w walce przeciw despotycznemu cesarzowi Mikołajowi. A to zdanie ostatnie nie jest ani ludowym wymysłem, ani sloganem reakcyjnej opozycji: to Lelewel je wymyślił, wódz romantycznej, powstańczej młodzieży. Mówiąc, że lud nie był jeszcze gotowy na przyjęcie republiki, mam na myśli nie tylko ludową część społeczeństwa, ale tę część natury ludzkiej, która związana jest z przeszłością, z tradycją, która ulega nawykom i przesądom, która doznaje lęków przed przyszłością nieznaną, boi się ryzyka, nie dowierza

rozumowym konstrukcjom, ulega magii słów, nazwisk, obrzędów, skłania się przed wszystkim, co uroczyste, sakralne, ciemne. Na początku XIX wieku rozumowa Europa i rozumowa Polska nienawidziły królów i pragnęły republiki, w tym samym czasie Europa ludowa i Polska ludowa snuły mity o królach dobrych. Stąd przedziwny paradoks romantycznej literatury, która była republikańska w swych deklaracjach politycznych, a monarchiczna do gruntu w swoim duchu. A był to paradoks, który nie tylko wyrażał się w poezji, lecz i w życiu romantycznego pokolenia. Nie miało ono gotowej odpowiedzi ani na pytanie, czy naród polski pragnie jeszcze wolności i czy jest jeszcze zdolny do życia, ani czy należy jeszcze kochać królów.

Wszczęli powstanie, ale nie wiedzieli, jakich chcą rządów; opanowali miasto, ale nie chcieli objąć władzy. Wtedy Rada Administracyjna, działając wciąż na mocy mandatu królewskiego, ukonstytuowała się w Rząd Tymczasowy, a władzę najwyższą oddała w ręce generała Chłopickiego, którego ogłosiła dyktatorem. Bohater spod Saragossy nie krył swoich zamiarów. Zgodził się przyjąć dyktaturę, aby zdusić rewolucję i nie dopuścić do wojny z cesarzem. Wielki książę Konstanty, nie zagrożony przez nikogo, wycofywał się ze swymi pułkami ku granicom cesarstwa. Dyktator Chłopicki nie tylko nie kazał go ścigać, ale wydał rozkazy, aby mu pochód ułatwić; wojskowe magazyny otrzymały polecenia, aby wojskom księcia wydawać żywność i paszę dla koni; władzom terenowym nakazano zorganizować przeprawy i dostarczać podwód. Jednocześnie zabezpieczono wszystko, co w kraju należało do księcia i do cesarza: nie pozwalano wojsku polskiemu zajmować koszar

i stajen pozostałych po wojsku rosyjskim, opieczętowano magazyny z bronią i mundurami. Żołnierze polscy nie mieli butów, płaszczy, kaszkietów; gdy jeden z generałów chciał wkroczyć do rosyjskich składów, spotkał się z ostrą reprymendą i pogroźkami dyktatora za naruszenie własności królewskiej.

Dyktator stał się więc niejako „interregnem”; zapewniał ciągłość monarchicznego porządku. Ale nie tylko: był także dla wielu ludzi nowym wcieleniem władzy. Republika nie była jedyną alternatywą monarchii; była nią także dyktatura, a nawet przede wszystkim dyktatura. Republika zanadto przypominała rewolucję francuską z jej konsekwencjami, to znaczy z interwencją obcą i terrorem wewnętrznym. Republika, wyznawana hałaśliwie przez szczupłą stosunkowo grupę działaczy klubowych, dla większości była straszakiem, takim jak „władza rad” w okresie międzywojennym. Wszakże to „lud” obwołał Chłopickiego dyktatorem, wszak na jego cześć gardłowano na wiecach Towarzystwa Patriotycznego. Krzyżące tłumy krążyły po mieście wywołując imię popularnego generała, podczas gdy ten ukrywał się po prostu, nie chcąc słyszeć o przyjęciu władzy z rąk powstańców. Wypłynął wtedy dopiero, gdy mu ją ofiarował rząd — wciąż ten sam, nie zmieniony przez rewolucję a więc „legalny”, „królewski”. Wtedy entuzjazm zapanował w całym mieście. Oświetlono okna, wywieszono dywany ozdobione cyframi dyktatora i jego portretami rysowanymi naprędce, gromadzono się przed jego mieszkaniem i urzędem, towarzyszo mu tłumnie, gdy konno przejeżdżał ulicami. Nazajutrz po objęciu władzy zasłabł; rozeszła się wtedy pogłoska, że o apopleksję przyprawiło go przemówienie Maurycego Mochnackiego w klubie. W kilku punktach miasta

wznosić zaczęto szubienicę dla klubisty. Dla ochrony dyktatora zawiązała się straż złożona z akademików, nazwana Gwardią Honorową. Na jej czele stanął młody profesor filozofii, Lach Szyrma. Okryty czarną peleryną, na czarnym koniu przebiegał miasto otoczony adiutantami, a jego gwardziści pilnowali kwatery Chłopickiego bacząc pilnie, aby osoba jego nie doznała szwanku lub obrazy. Oni to ruszyli na dom Mochneckiego, aby go porwać i zawlec na szubienicę; Mochnecki na szczęście przedarł się chyłkiem przez pikiety i schronił się pod opiekę rządu. Dyktator wyzdrowiał, rozwiązał klub Towarzystwa Patriotycznego, nałożył ostrą cenzurę na prasę, zreorganizował policję i wywiad wewnętrzny. Gwardia Honorowa stała się regularną formacją do dyspozycji wodza. Podzielono ją na centurie, rozdano stopnie wzorowane na rzymskich: centurionów, edylów, prefektów. „Objąłem władzę, aby przeciwstawić się anarchii” — powiedział bez ogródek dyktator; nie krył także wcale, że nie zamierza powstania rozszerzać. Mimo to sejm w trzy tygodnie później dyktaturę zatwierdził, zalegalizował, ustanawiając nad nią jedynie specjalną „straż” złożoną z posłów i senatorów. I wszystko działo się jak w każdym dyktatorskim państwie: Chłopicki obrażał posłów, senatorów, generałów, rzucał w nich kałamarzami, kopał, grożąc wciąż, że odejdzie. Sejm zajmował się szczegółami administracyjnymi, wojsko stało w miejscu, „lud” pocieszał się, że wszystko jest dobrze, póki Chłopicki rządzi. Dyktatura stawała się ustrojem.

Osobliwe były wtedy dzieje Gwardii Honorowej. Czy się jej Chłopicki począł obawiać, czy z innych przyczyn postanowił pozbyć się wiernych pretorianów, dość, że odkąd stał się

dyktatorem „legalnym”, odsunął Gwardię od siebie i wszczął kroki zmierzające do jej powolnej likwidacji. Najpierw powołał profesora Szyrmę na stanowisko radcy stanu, a dowódcą Gwardii uczynił zawodowego oficera, który gwardzistom zaaplikował regularną musztrę oraz wykłady z zakresu podchorążówki. Następnie zaczęto gwardzistów wcielać do pułków liniowych. Wtedy w Gwardii nastąpił otwarty bunt. Akademicy zażądali odwołania nowego dowódcy i wysunęli własnego kandydata: Leonarda Chodźkę. Był to człowiek bardzo ściśle związany z francuskimi „węglarzami”, członek ich najbardziej wtajemniczonych kół, służący za łącznika między nimi a węglarstwem polskim. Jednocześnie Gwardia przedstawiła dyktatorowi nowy program działania, zawierający w sobie nie tylko regulamin służby czy statut samej formacji, ale propozycję ustrojową, w której rozpoznamy łatwo zarysy współczesnego totalizmu: Gwardia miała stać się organizacją kadrową werbowaną spośród ludzi bezwzględnie oddanych dyktaturze; miała stanowić oddział specjalny w dyspozycji osobistej dyktatora, nie tylko dla ochrony jego osoby, lecz także dla akcji specjalnych, wymierzonych „przeciw anarchii i defetyzmowi”; grupy gwardzistów, obdarzone specjalnymi pełnomocnictwami dyktatora, miały zostać rozesłane na prowincję dla kontrolowania urzędów i „podtrzymywania ducha rewolucyjnego”; każdy wojewoda, każdy starosta, każdy burmistrz czy prezydent miasta miał mieć przydzielonego gwardzistę, który reprezentowałby wolę dyktatora; każdy dowódca wojskowy, aż do szefa kompanii włącznie, miał mieć przy sobie gwardzistę uprawnionego do wydawania rozkazów; prócz gwardzistów występujących jawnie miał zostać utworzony specjalny tajny oddział Gwardii, przeznaczony do kontroli

ukrytej i do śledzenia wszelkich przejawów nieposłuszeństwa wobec dyktatora. Zdolni chłopcy! Trzeba im przyznać nie lada wyobraźnię polityczną.

Czy Chłopicki na te projekty nie przystał, czy dowódca Gwardii, dzielny pułkownik Łagowski, członek Wolnomularstwa Narodowego, działał na własną rękę, czy się wdał w to rządy, czy wojsko — trudno powiedzieć: w każdym razie gwardzistów rozesłano czym prędzej do pułków, pozostawiając tylko niewielką kompanię do pełnienia służby wartowniczej w kwaterze głównej wodza. Wkrótce zresztą Chłopicki zrzekł się dyktatury, a władza przeszła w ręce pięcioosobowego Rządu Narodowego. Nie znaczy to wcale, że na tym skończyły się konwulsje polityczne powstania. Przez cały czas sprawowania władzy przez ów Rząd trwały tajne rozmowy między różnymi ugrupowaniami i nowa dyktatura torowała sobie już drogę pośród biurokratycznego chaosu, niezadowolenia opinii, gadaniny sejmowej. Aby ją w końcu zrealizować, zwolennicy jej (zgrupowani w zakonspirowanym klubie, zwanym „klubem pani Chłędowskiej”) użyli środków nadto dobrze znanych z XX wieku: rozpoczęto kampanię prasową przeciw Rządowi, sejmowi i dowódcom wojskowym, szafując zarzutami zdrady, wezwano w końcu lud do manifestacji, do najścia na Rząd i masakry więźniów stanu. Stało się to w noc 15 sierpnia 1831 roku. Rząd usunął się z miasta, policja nie interweniowała, wojsko nie otrzymywało żadnych rozkazów, a gdy miasto było bezbronne wobec szalejącego żywiołu ulicznego, pojawił się nagle mąż opatrnościowy, generał Krukowiecki. Kilkoma salwami do tłumu uspokoił ulicę i przez nią samą obwołany został nowym dyktatorem.

W podręcznikach historii, w popularnych książkach, a zwłaszcza w powieściach historycznych, eksponuje się zawsze wojskowe dzieje powstania na niekorzyść cywilnych. A te były nie mniej ważne, choć o wiele mniej piękne, mniej malownicze i mniej bohaterskie. W konwulsjach politycznych rodziła się wtedy w Polsce nowa idea ustrojowa, aby zająć miejsce opuszczone przez króla. Jeszcze nie wiedziano wtedy, że to miejsce pozostanie puste na zawsze. W lęku przed Republiką wypełniano je zastępczą postacią dyktatora, męża opatrnościowego, zbawcy ojczyzny, „Cnotliwego Kromwella” — jak pisał Mochnacki; ten „mąż” w późniejszej poezji emigracyjnej przybierze mistyczną postać i tak głęboko zakorzeni się w wyobraźni narodowej, że wszystkie nadzieje wyzwolenicze i wszystkie koncepcje powstańcze wiązać się będą odtąd z dyktaturą. Tak będzie w roku 1863, tak będzie po wyzwoleniu w roku 1918.

Mówi się, słusznie zresztą, że romantyczna wizja polityki i walki uformowała polską świadomość polityczną; odnosi się to nie tylko do stylu przedsięwzięć zbiorowych, lecz do celu ustrojowego. O ile monarchia stawała się coraz wyraźniej koncepcją konserwatywną, to jej alternatywą wysuwaną przez obóz rewolucyjny nie była demokracja parlamentarna, lecz dyktatura, czyli monarchia z woli ludu.

Kiedy w listopadowy wieczór 1830 roku gromadka polskich romantyków biegła przez Ogród Łazienkowski do pałacu belwederskiego, aby zabić brata cesarskiego, była przed nią ciemność historyczna, w której kłębiły się wszystkie widma, jakie nawiedzić miały Polskę i Europę po wymordowaniu czy wypędzeniu królów. Powtarzająca się w całej poezji

romantycznej obsesji otchłani, przepaści wypełnionej chmurami, powtarzający się w niej temat skoku w przepaść, lotu czy szalonego pędu przez pustynię i mrok, który w niej panuje, wszystko to nie jest tylko nastrojem i tłem, lecz obrazem świadomości, obrazem chaosu, co w głowach panował.

W listopadowy wieczór

„Każdy spisek — a naród chcący odzyskać swój byt jest albo w stanie ciągłej konspiracji, albo ciągłej insurekcji — ma w sobie coś nieokreślonego, a zatem potrzebuje entuzjazmu i poezji... W tym stanie Polska się znajdowała” — pisał Maurycy Mochnacki w książce pt. Dzieje powstania narodu polskiego; w ciągu tych lat, które upłynęły od upadku powstania listopadowego do śmierci młodego pisarza, zdążył on spisać dwa tomy swej pracy. Cytowane zdania pochodzą z tomu pierwszego, w którym Mochnacki charakteryzował poprzedzający powstanie stan rzeczy w Królestwie Polskim, na ziemiach przyłączonych do Rosji i w Rosji samej, stan rzeczy w dziedzinie polityki, administracji, wojska, oświaty, a w końcu w dziedzinie ducha, to jest kultury i sztuki. Szukał przyczyn rewolucji, tak bowiem nazywał, jak wszyscy zresztą współcześni, powstanie wzniecone przez garstkę podchorążych w listopadową noc 1830 roku; wskazując, dlaczego wybuchła, dowodził, że wybuchnąć musiała. Przemiany w literaturze, dokonujące się w przedrewolucyjnych latach, Mochnacki zalicza również do przyczyn, które wybuch uczyniły nieuniknionym,

koniecznym, logicznym: „Wszystko, co przemawiało do imaginacji, zdawało się mieć na celu ojczyznę uciśnioną przez obcych wrogów; wszystko, co było poetyckie, było wtedy patriotyczne. Tym sposobem literatura w Polsce, jak ludzie, konspirować zaczęła. Tym sposobem wytłumaczyć sobie potrafimy, dlaczego w tej właśnie porze, a nie pierwej ani potem, zjawia się w tej literaturze taki człowiek, jak Adam Mickiewicz, który był równie wielkim politykiem (choć może o tym nie wiedział) w swej poezji, jak Leleweł wielkim poetą w swej polityce, to jest w historii i krytyce historycznej.”

Maurycy Mochnacki pisał te słowa w roku 1832. Adam Mickiewicz nie przyjechał był jeszcze do Paryża. W drodze z Polski zatrzymał się w Dreźnie, gdzie pisał *Dziadów* część trzecią. Kiedy Mochnacki pisał te słowa, miał sam dwadzieścia osiem lat, a poeta, którego zjawienie krytyk uznał za epokę, miał lat trzydzieści cztery. To samo pisał krytyk o nie znanym sobie osobiście poecie, gdy obaj byli o cztery lata młodszy, przed rewolucją jeszcze. W tym samym czasie ich jednolatkę Seweryn Goszczyński w Mochnackim, autorze kilkunastu artykułów o literaturze, uznawał pisarza, który „dziś najpiękniej ze wszystkich żyjących Polaków pisze po polsku”, ten zaś znajdował arcydzieła w Zamku kaniowskim tegoż Goszczyńskiego, w Marii Antoniego Malczewskiego („po wszystkie czasy będzie najświetniejszym naszej literatury zaszczytem”), a w przełomie romantycznym i w nowej szkole poetyckiej, której ci trzej byli zwiastunami, widział prawdziwy początek polskiej literatury narodowej. Było to pokolenie, które poznało się na sobie. Zrozumiało, jak bardzo jest utalentowane, i pojęło misję, jaka na nim ciąży. Fenomen romantyczny jest

w istocie fenomenem samoświadomości. Nigdy przedtem i nigdy potem narody nie wiedziały równie jasno, czego chcą i do czego dążą. „Narody” — powiadamy, mając na myśli ich polityczne i intelektualne elity. Powiadamy o elitach „narody”, bowiem określone wtedy cele, zapisane mitologie i dokonane czyny uogólniły się z czasem i stały się rzeczywiście samowiedzą narodów. Pozostają nią do dziś dnia. Do dziś każda romantyczna biografia ma wartość symbolu i siłę mitu, choćby przez to, że powtarza się po wielekroć i organizuje regularnie, jakby nią rządziła arbitralnie narzucona poetyka.

W świadomości Mochnackiego jedno zresztą wynika z drugiego: Mickiewicz według niego zjawił się w tym, a nie w innym momencie, ponieważ miał misję do spełnienia; był potrzebny. Daleko jeszcze jesteśmy od teorii Hipolita Taine’a o naturalnym doborze talentów, które zjawiają się wtedy, gdy już w stosunkach społecznych, w usposobieniu powszechnym wszystko gotowe jest na ich zjawienie się i przyjęcie. Mochnacki jest wychowankiem Oświecenia. Wpojone miał przekonanie o organicznej jedności wszystkich sfer życia narodowego. Musiał nastąpić ruch w literaturze, skoro odbywał się ruch w polityce; ten ostatni miał cel najwyższy do spełnienia: wyzwolenie narodu, triumfalne wzniesienie się na historyczną wyżynę. W literaturze tedy musiało się stać to samo. Dążąc do rewolucji, naród spełniał swe historyczne arcydzieło. Nadszedł tedy czas na arcydzieła literatury. Naród zdolny do wydawania politycznych bohaterów, takich jak Łukasiński, Tomasz Zan czy Piotr Wysocki, musiał być zdolny do wydawania bohaterów literatury. Każdy z dwudziestolatków biorący wówczas pióro do ręki lub przystępujący do patriotycznego przysiężenia czuł, że

w jednej lub w drugiej sferze, w twórczości lub w działaniu, zaczyna grę o najwyższą stawkę, to znaczy o nieśmiertelność. Historia pokazała, że nie były to czcze urojenia.

Nie wyobrażajmy sobie jednak, że byli wybrańcami losu, że historia ujawniła im swe zamiary, podając gotowe formy wyrazu artystycznego i sposoby działania politycznego; nie wyobrażajmy sobie, że uniknęli oni uwikłania w sprzeczności ideowe, w rozterki, w pokusy życia łatwego i że wokół siebie mieli atmosferę na tyle czystą, na tyle jasną i na tyle niedwuznaczną, iż wybór partii życiowej nie nastreczył im żadnych trudności. Biografowie pisarzy i działaczy politycznych pokolenia romantycznego zwykli idealizować ówczesną sytuację w Polsce porozbiorowej. Zdawałoby się, że piękną rzeczą było wzrastać w kraju, w którym świeże były jeszcze tradycje Sejmu Czteroletniego, insurekcji kościuszkowskiej, legionów Dąbrowskiego, epopei napoleońskiej. Staszic, Niemcewicz, Kniaźewicz, Pac, Małachowski, Zajączek chodzili po ulicach Warszawy, zajmowali stanowiska w rządzie, pisali książki, wygłaszali odczyty, zasiadali w sejmie. W Polsce, która już miała za sobą doświadczenia rozbiorów, okupacji i powstań, która już była konstytucyjna i narodowa, która żyła już pełnią społecznej i politycznej problematyki dziewiętnastego wieku, złączona jednym rytmem z całą liberalną Europą, w Polsce, w której już rysowały się pierwsze wizje socjalizmu i internacjonalizmu, która już była nowoczesna, żyły jeszcze tradycje przedrozbiorowe, z czasów królewskich, z czasów „rzeczypospolitej obojga narodów”. To pokolenie wypływając na szerokie wody historyczne widziało jeszcze brzeg macierzysty. Przekonane, że historię narodu, ustrój jego i kulturę tworzy na

nowo, odczuwało jeszcze organiczne związki z jego przeszłością; Polska była dla nich całością kulturową. Uczyli się polityki od Kazimierza Wielkiego i od Jana Zamoyskiego, uczyli się sztuki wojennej od Żółkiewskiego i Czarnieckiego, a stylu od Łukasza Górnickiego i Piotra Skargi. Te nazwiska nie były dla nich tylko rewindykacjami historycznymi, nie miały dla nich nic z mniej lub więcej ciekawych zabytków historycznych, nic z „klasyków”, były żywe, tak jak kontusz, karabela i konfederatka nie były muzealnymi przedmiotami, lecz zwykłym strojem noszonym jeszcze przez prowincjonalnych szlachciurów; tak jak dawne urzędy i tytuły szlacheckie, i wszystkie fomy szlacheckie, i polskie cnoty, i przywary, niezmiennie od czasów Reja, i wszystkie problemy polskie tylekroć piętnowane przez publicystów, od Złotego Wieku zygmuntońskiego do stanisławowskiego Oświecenia, i wszystko, wszystko, co stanowiło dawną Polskę, nadal tworzyło rzeczywistość naoczną, namacalną, uroczą i straszną. Pokolenie romantyczne żyło na przełęczy wieków, kroczyło po moście między nowymi a dawnymi laty. Nie wyobrażamy sobie jednak, że przeszłość i przyszłość oglądane z takiej przełęczy są piękne i wzniosłe. Nie. Odwrotnie: pokolenie romantyczne miało szczęście i nieszczęście oglądać dawną tradycję w karykaturze, a przyszłość w kształtach tak dziecinnych, niedojrzałych, do jakich stworzenia samo było zdolne.

Dawna Polska ukazywała mu się w karykaturze, ponieważ była stara, starcza. Królestwo Kongresowe było widowiskiem niebywałych upadków moralnych. Generał Zajączek, bohater legionów Dąbrowskiego, był cesarskim namiestnikiem, płaszczył się przed wielkim księciem Konstantym, kierował ściganiem

związków patriotycznych, przykładał się do wysokich wyroków, utwierdzał reżim tajnej policji i cenzury. Dyrektorem policji był generał Roźniecki, jeden z najlepszych oficerów Księstwa Warszawskiego; w czasach Królestwa Kongresowego ustanowił w Warszawie system donosicielstwa i szpiegostwa, wsławił się brudnymi aferami szantażowymi w stosunku do kupców i rzemieślników, których terroryzował przy pomocy zaufanych agentów werbowanych ze sfer przestępczych. Naczelnikiem cenzury, urzędu wszechwładnego w dziedzinie publikacji, widowisk, a nawet wykładów uniwersyteckich, był Józef Kalasanta Szaniawski, były jakobin z czasów Sejmu Czteroletniego. Królestwo było państwem szalenie biurokratyzowanym. W stolicy trwała zacięta walka o urzędy, a polegała ona oczywiście na prześciganiu się w służalstwie. Im kto wspanialszą miał przeszłość za sobą, im kto był bardziej skompromitowany politycznie przez sprzyjanie Napoleonowi lub przez udział w wojnie przeciw Rosji czy w insurekcji, tym gorliwiej teraz dowodził swej wierności dla dynastii Romanowów i dla zasad, na których wspierała się władza cesarza Rosji, a króla Polski. Autonomia Królestwa i jego konstytucyjny ustrój były farsą ponurą i krwawą. Atmosfera „Salonu Warszawskiego” z trzeciej części Dziadów, genialnie uchwycona przez Mickiewicza, choć ją znał tylko z opowiadań, panowała przez całe piętnastolecie tej karykaturalnej państwowości polskiej.

Młodzieńcy, którzy dojrzewali w tej atmosferze, musieli raz po raz zadawać sobie pytanie: czy Polska umarła bezpowrotnie, czy też teraz dopiero żyć zaczyna? Czy naród polski zeszedł z widowni historycznej bezpowrotnie razem z Rzeczpospolitą szlachecką, czy też teraz dopiero, po unicestwieniu

anachronicznych form ustrojowych, które go krępowały, powstaje do swego prawdziwego życia, „...nasz naród jak lawa — mówi Wysocki w „Salonie Warszawskim”. — Z wierzchu zimna i twarda, sucha i plugawa. Lecz wewnętrznego ognia sto lat nie wyziębni! Plwajmy na tę skorupę i zstąpmy do głębi.” To przekonanie wcale nie przychodziło łatwo młodzieńcom, którzy patrzyli na entuzjastyczne przywitanie cara Aleksandra, gdy przybył koronować się w Warszawie, którzy potem podobne hołdy oglądali przy okazji otwarcia każdego sejmiku, którzy wreszcie widzieli Warszawę pijaną i wiernopoddańczą w dniach koronacji następnego z kolei „króla konstytucyjnego” — Mikołaja I, co do którego intencji już nikt nie mógł mieć żadnych wątpliwości. Doprawdy, nietrudno było wtedy zwątpić w to, czy Polacy chcą jeszcze wolności.

Toteż rozgrywały się na tym tle ogromne dramaty. Jak wiadomo, podczas uroczystości koronacyjnych Mikołaja zawiązał się wśród garstki studentów i oficerów spisek na życie cara i jego rodziny. Spełził zresztą na niczym i nawet policja nie wpadła na jego trop. Duszą spisku był Adam Gurowski, chłopak wówczas bardzo młody, ze znakomitej, kasztelańskiej rodziny, przejęty do głębi ideałami międzynarodowego węglarstwa, trochę demagog, trochę szaleniec; skrajny radykał w kwestiach społecznych, uwolnił chłopów z poddaństwa w swoich dobrach, głosił plan powstania ludowego i zbratania z Rosjanami na płaszczyźnie wspólnych dążeń liberalnych. Od spisku umknął zresztą w decydującej chwili, zupełnie jak Kordian w dramacie Słowackiego, osnutym wokół tych właśnie wydarzeń. Podczas powstania listopadowego odgrywał ważną rolę w stolicy jako mówca i publicysta Towarzystwa Patriotycznego, które na wzór

jakobińskich klubów obradowało publicznie w ređutowych salach teatru na placu Krasińskich. Wcześnie zresztą, zdaje się, stracił wiarę w powodzenie walki powstańczej, bo nie czekając rozstrzygnięcia wojny wyjechał do Paryża; tam nawiązał ściśle kontakty z konspiracją węglarską i został nawet przez policję francuską aresztowany. On to był jednym z założycieli Towarzystwa Demokratycznego Polskiego, pierwszej partii polskiej głoszącej hasła socjalistyczne, a sprawę powszechnego wyzwolenia ludów kładącej nad odzyskanie wolności politycznej dla narodu polskiego. W trzy zaledwie lata po upadku powstania Gurowski jednakże zerwał ze wszystkimi grupami emigracyjnymi, ukorzył się przed carem, uznał polskie dążenia wolnościowe za mrzonki, w broszurach pisanych po francusku, a publikowanych w Wiedniu i w Paryżu, ogłosił Polskę trupem politycznym i narodowym, stwierdził, że jedyną możliwością życia dla niej jest cesarstwo rosyjskie, jako unia wszystkich Słowian... Uzyskał amnestię, powrócił do Warszawy, ofiarował policji usługi w wykrywaniu patriotów, przeżył tu parę lat w osamotnieniu i wzdargzie powszechnej, opuszczony nawet przez władze rosyjskie, które mu nie dowierzały. W końcu zdołał wyjechać za granicę, do Stanów Zjednoczonych Ameryki, gdzie przez długie lata pełnił rolę totumfackiego tamtejszej ambasady rosyjskiej, składając memoriały i donosy, m.in. nawet na Karola Marksa.

Różnie komentowano zdradę Gurowskiego. Jedni mieli go po prostu za wariata, inni przypisywali jego postępowanie urażonej ambicji, inni znów dopatrywali się pobudek ściśle osobistych. Mniejsza o to, jaka okoliczność była akuszerką myśli o odstępstwie; w duszach młodych zapaleńców myśl ta zaległa

się pod wpływem tak ogromnych zrad, jakie od dzieciństwa obserwowali wokoło. Miłość do narodu polskiego, odziedziczona po poprzednich pokoleniach, podsycana bohaterskimi legendami o bohaterach niedawnych wydarzeń, raz po raz była zakłócana nienawiścią, gdy owi bohaterowie sprzedawali się za order, urząd lub majątek.

Kordian opuszczony przez wszystkich, zdany tylko na łaskę lub niełaskę cara, tak mówi o Polakach:

Niech się rojami podli ludzie plemią
I niechaj plwają na matkę nieżywą;
Nie będę z nimi! — Niechaj z ludzkich stadeł
Rodzą się ludziom przeciwne istoty
I świat nicują na złą stronę cnoty,
Aż świat jak obraz z przewrotnych zwierciadeł
Wróci się w łono Boga, niepodobny
Do tworu Boga... Niechaj tłum ów drobny,
Jak mrówki drobny, ludem siebie wyzna!
Nie będę z nimi! — Niech słowo ojczyzna
Zmaleje dźwiękiem do trzech liter cara;
Niechaj w te słowo wsiąknie miłość, wiara.
I cały język ludu w te litery!
Nie będę z nimi! — Niech szubienic drzewa
W ogrodach miejskich rosą jak szpalery,
Niech się w ogrody taki tłum wylewa
Śmiechom przyjazny, a łzom nienawistny;
Niech niańki w ogród szubienic bezlistny

Prowadzą dziatki, by tam dla zabawy
Grzebały piasek krwią męczeńską rdzawy...
Nie będę z nimi! — O zmarli Polacy,
Ja idę do was!...

To są straszne słowa. Przełożone na język prozy politycznej brzmiałyby tak: naród żyje w swych instytucjach ustrojowych; w nich wyraża się jego poczucie sprawiedliwości, w nich ucieleśniają się aspiracje do wolności i samodzielności. Jeśli instytucje te zostaną zniszczone, naród staje się bezkształtnym tłumem, mrowiskiem, łatwym do zgniecenia lub pokierowania. Nie ma Polski, więc nie ma Polaków. Spiski i powstania są to konwulsje agonalne; literatura romantyczna to łabędzi krzyk umierającego narodu. Słowacki i wszyscy jego rówieśnicy mieli pojęcie narodu takie, jakie wyłoniło się z rewolucji francuskiej i poprzedzających ją pism encyklopedystów: a więc prawne, instytucjonalne, polityczne. Nowe pojęcie narodu, powstające w kręgu niemieckiej filozofii, torowało sobie bardzo powoli drogę w polskich umysłach. Wedle Herdera, Schellinga, braci Schległów, naród jest bytem starszym od form politycznych i od nich nieskończenie trwalszym; naród jest właśnie całością organiczną; jest dziełem miejsca i czasu, a więc na jego stworzenie pracują ziemia, krajobraz i klimat, i dzieje w całym przebiegu, zarówno tym, który znany jest historykom, jak i tym, który nigdy przez nich poznany nie będzie. Przełom romantyczny w filozofii narodu i kultury przypomina ten, którego Freud dokonał w psychologii. Jak wiedeński psychiatra nauczył ludzi myśleć o sobie samych kategoriami biografii, tak filozofowie z Berlina i Heidelbergu nauczyli narody myśleć

o sobie samych kategoriami historii.

Trzeba było klęski powstania, trzeba było wielu lat emigracyjnego samosądu nad przyczynami i winowajcami klęski i wielu daremnych zabiegów wojskowych i dyplomatycznych o ruszenie „sprawy polskiej” z martwego punktu, i wielu klęsk na tym polu, i wielu upokorzeń, i trzeba było temu całemu pokoleniu zestarzeć się w namiętnościach politycznych — jak pisał o sobie Mochnecki — aby nowa filozofia narodu stała się prawdą oczywistą, niezachwianą. Wypracowało ją to właśnie pokolenie, które znalazłszy się na historycznej przełęczy musiało sobie odpowiedzieć na pytanie iście hamletyczne: czy Polska ma być, czy też nie być?

W mglisty wieczór 29 listopada 1830 roku blada łuna rozjaśniła na chwilę ciemności zgęstniałe nad Warszawą. Z mostku pod pomnikiem króla Sobieskiego ruszyła gromadka chłopców, z których żaden jeszcze nie przekroczył trzydziestki. Kryjąc pod fałdami płaszczy karabiny, pałasze, pistolety i sztylety, biegli w górę przez Park Łazienkowski ku Belwederowi, gdzie spał pijany brat cara Wszechrosji. W kasynach i resursach lało się wino i trzaskały karty do gry. Mieszczanie zamykali sklepy i warsztaty, zabierali się do sutych kolacji i do snu. W pałacowych gabinetach snuły się intrygi, zawiązywały się klikki, spółki, mariaże. Nikt tu nie myślał o wolności, bo już jej instynkt zamierał w narodzie podbitym i oszukanym. Spiskowcy nie byli wojskowymi. Wojsko odmówiło udziału w zabójstwie członka rodziny królewskiej. Poczucie prawa i przywiązanie do idei monarchicznej mocniejsze były od godności narodowej. W ten wieczór listopadowy w Warszawie trwał jeszcze wiek osiemnasty. W kilku punktach miasta

czekano na wieści spod Belwederu. Jeśli ta garstka poetów, krytyków literackich, dziennikarzy odważy się przelać krew cesarską, ruszy za nimi wojsko, porwie lud, zmusi do działania arystokrację i mieszczaństwo. Odważyli się: z okrzykiem „śmierć tyranom!” wpadli na dziedziniec pałacowy... W Warszawie zaczął się wiek dziewiętnasty. Polacy przyłączyli się do stuletniej wojny narodów, z której wyłoniła się nowoczesna Europa.

Machiavelli, czyli wiara w szczęśliwą gwiazdę

W roku 1816 nakładem paryskiej księgarni H. Nicolle'a ukazał się tom pism Machiavella pod następującym tytułem: *Machiavel commenté par N-on Buonaparte. Manuscrit trouvé dans la carosse de Buonaparte après la bataille de Mont-Saint-Jean le 18 juin 1815* (Machiavel komentowany przez Napoleona Bonapartego. Rękopis znaleziony w karocy Bonapartego po bitwie pod Mont-Saint-Jean dnia 18 czerwca 1815 roku).

Oddajmy najpierw cześć przedsiębiorczości wydawcy: rok jeszcze nie minął od chwili zdobycia tego rękopisu, a jego autora dopiero co odwieziono na Wyspę Św. Heleny, jeszcze trawą nie porosły pobojuwiska Mont-Saint-Jean i Waterloo, jeszcze chyba okupacyjne wojska rosyjskie nie odstąpiły spod Paryża, kiedy te najbardziej sekretne myśli cesarza dotarły do szerokiej publiczności. Można sobie wyobrazić, jak rozchwyтали tę książkę bonapartyści... Przyznajmy też liberalizm ówczesnym władzom wojskowym i administracyjnym za to, że ten rękopis

oddały (czy sprzedały?) księgarzowi. We Francji rozpoczynały się ponure lata Restauracji Burbonów; imię „uzurpatora” było tu przeklęte, lecz — jak widać — nie zakazane. Co prawda, wydawca zrobił wszystko, aby zmniejszyć urok wielkiego więźnia ze Św. Heleny, jaki z kart tej książki mógł paść na czytelnika nie dość legitymistycznie usposobionego. W przedmowie wyjaśniono, że największą wartość znalezionej rękopisu stanowią nie noty Buonapartego pomieszczone na marginesie książki, lecz nowy przekład Księcia. Wydawca przemilczał jednakże nazwisko tłumacza i nie umieścił go na karcie tytułowej: obawiano się, widać, dodania sensacji do sensacji, albowiem autorem przekładu był także cesarz. On to wszak mówił (jak notuje arcybiskup Pradt, były ambasador cesarstwa w Warszawie), że Księżę Machiavella jest jedyną książką, jaką w ogóle warto czytać. Nad przekładem tym pracował na biwakach i nigdy nie rozstawał się z rękopisem, który pokrył ponadto swoimi uwagami i wykrzyknikami. Wydawca paryski wspomina o tych notach z szacunkiem: miały one być, według niego, ciekawe dla czytelnika głównie dlatego, że ich autor, jako Włoch z pochodzenia, lepiej niż kto inny usposobiony był do rozumienia myśli chytrego Toskańczyka... A prócz tego — ciągnie z wyrozumieniem wydawca — nauki Machiavella „zgłębił on z tym większą ciekawością, że znaleźć w nich miał to wszystko, na co mu przyszło odważyć się, aby zostać władcą i władztwo swoje utrzymać; ...w tych adnotacjach, które są dla nas ciągłym zwierzeniem jego ukrytego życia, rozpoznajemy poruszenia jego ambitnej duszy i projekty rodzące się w jego wulkanicznej głowie. Tylko jego własna ręka zdolna była odmalować go takim, jakim jest tutaj przedstawiony, bo on tylko mógł znać swe myśli w ich

najpierwotniejszym kształcie, swe uczucia w ich szybkim przebiegu, w jakim tu zostały uchwycone. Widać tu zarodki jego zamiarów i poglądów, zanim się jeszcze na świat wyłoniły.”

W tych słowach jest chyba podziw ukryty; może nawet uwielbienie. Zostanie ono natychmiast ochłodzone. Otóż ta książka — powiada szczerze czy nieszczerze autor przedmowy — dowodzi, że Napoleon był jeszcze gorszy od Machiavella, a ujawnienie tego jest jednym z celów wydawnictwa. Dlatego właśnie podzielono na dwie połowy każdą stronę książki, z jednej strony zamieszczając tekst Księcia, z drugiej zaś strony adnotacje Buonapartego. Tak oto powstał jeden z najosobliwszych dialogów politycznych, jakie kiedykolwiek zanotowano: włoski dyplomata z XVI wieku, twórca pierwszej nowożytnej teorii państwa i pierwszej w ogóle teorii władzy, klasyk filozofii władzy, rozmawia z największym w nowożytnych dziejach jej praktykiem. Za każdym razem, gdy Napoleon — pisze wydawca — „znajduje w pismach Machiavella zarys moralności i uczciwości w rzeczach polityki, cała perwersyjność jego [Napoleona — przyp. A. K.] zostaje obnażona. Patrzcie tylko, jak się buntuje przeciw wielkiemu nauczycielowi, ilekroć ten z naciskiem podkreśla, że władca winien być raczej kochany niż nienawidzony, że winien postępować jak ojciec, nie jak tyran. Obrzuca obelgami Machiavella, gdy mu się wydaje, że go ten potępia; nie można powstrzymać się od uśmiechu, gdy się czyta te wybuchy wściekłości na niektóre rady Męża Stanu, którego mądrość i sprawiedliwość zdają się przemawiać przeciw skłonnościom tamtego...”

Biedny wydawca! Ile musiał starać się, aby legitymistycznemu cenzorowi dać jakoś przełknąć tę książkę,

która miała w przyszłości stać się biblią dla nowego pokolenia bonapartystów. Biblioteka Uniwersytecka w Warszawie przechowała egzemplarz tego napoleońskiego Machiavella z następującym ekslibrisem: „Z Xięgozbioru Radcy Stanu J. K. Szaniawskiego, Członka Rady Stanu i Rady Wychowania Publicznego w Królestwie Polskim.” Szaniawski — były jakobin z czasów insurekcji Kościuszki, pierwszy bodaj zerwał z ideą konspiracji zbrojnej i szukania wojskowych sojuszków dla odzyskania niepodległości. W gronie przyjaciół, związanych poza tym zdaje się masońskimi przysięgami, głosił nową konspirację dla szerzenia oświaty, nauki i umacniania ducha narodowego. Świetny erudyta, studiował Kanta i pisywał o nim rozprawy; stąd nazywano go „Kantem polskim”. Jako członek Rady Stanu odpowiedzialny był za urząd cenzury w Królestwie Polskim. Tępił liberalizm polityczny i wolnomyślicielstwo, ale jednocześnie był gorącym zwolennikiem romantyków. Przyjaciel domu Mochnackich, miał ogromny wpływ na wychowanie Maurycego. Wydobył go z więzienia, namówił do napisania słynnego memoriału do wielkiego księcia i do przyjęcia pracy w urzędzie cenzury. Na jego ręce złożył Maurycy dymisję, w której pisał, że cenzurę uważa za instytucję pożyteczną, ale cenzorów za głupców, którzy działają tylko na szkodę Najjaśniejszego Pana, ośmieszając monarchiczną ideę. Przed powstaniem Szaniawski umknął z Warszawy, a po klęsce zasiadał w trybunale sądzącym członków spisku belwederskiego. Zmarł we Lwowie i tam leży pochowany, a w kościele Karmelitów w Warszawie wystawiono mu pomnik, który po dziś dzień stoi.

Egzemplarz jest czysty, choć brzegi kartek pożółkły. Nie

wygląda na to, aby radca stanu rozczytywał się bardzo w tym dialogu Korsykanina z Toskańczykiem, chociaż z tego, co w życiu zrobił, winno się go nazywać nie tyle Kantem, ile właśnie Machiavellem polskim. Wiadomo natomiast, że rozczytywał się w Machiavellu sam Mochnecki i że ta książka, w tym właśnie przekładzie, z tymi komentarzami, krążyła wśród warszawskich literatów, siewców listopadowej burzy. Czytelnika prasy warszawskiej z epoki przedpowstaniowej uderzyć musi nowy ton w publicystyce politycznej, tej zwłaszcza, co wychodziła spod piór „młodych”, skupionych wokół „Dziennika Warszawskiego” i „Gazety Polskiej”. Skąd ta ostrość stylu i myślenia, odbijająca od kwiecistej retoryki i eufemizmów praktykowanych przez pisarzy starszego pokolenia? Kto tych młodych nauczył myśleć takimi skrótami, kto im dał przykład rozcinania zawiłych problemów formułą ostrą i pozbawioną skrupułów? Kto ich nauczył w rozważaniach politycznych posługiwać się materiałem dostarczonym przez historię współczesną, skoro wszyscy oni opuścili kolegia i uniwersytety z przekonaniem, że jedynym źródłem nauk politycznych jest starożytność? Kto ich nauczył posługiwać się tak uproszczeniem i inwektywą i kto podsunął myśl, że uprawianie pisarstwa politycznego jest sposobem walki o władzę? Kto, jednym słowem, nauczył politycznie myśleć i pisać Podczaszyńskiego i Goszczyńskiego, Żukowskiego i Bronikowskiego? A przede wszystkim kto Mochneckiego nauczył politycznego pisarstwa? Jestem przekonany, że tą iskrą zapalającą romantyków do polityki był napoleoński przekład Machiavella:

„O różnych rodzajach rządu. Są trzy dobre i trzy złe. Dobre to księstwo, rząd arystokratyczny i rząd ludu. Trzy złe rodzą się

z zepsucia pierwszych.” To Machiavelli-Bonaparte. A dalej: „Kto jeden z tych trzech rządów ustanawia w społeczeństwie wbrew jego pragnieniom, czyni to z pozoru tylko i na czas krótki, albowiem nie zdoła przeszkodzić temu, że się one wyrodzą w swe własne przeciwieństwa, jak to i z cnotą często bywa.” To także Machiavelli-Bonaparte. A to Mochnacki: „Są okoliczności, w których ucisk to tylko zrządza, co by bez niego jeszcze łatwiej i prędzej przyszło do skutku.” Jeszcze Mochnacki wybrany na chybił-trafił: „...byłże jaki środek niemoralny, którym by się nie godziło zepsuć najniemoralniejszego dzieła w polityce, rozbioru Polski?” Ta sama logika, ten sam styl. Ta sama doktryna polityczna, sprowadzająca doskonałość działań politycznych do skuteczności środków, a doskonałość ustroju do doskonałych praw — doktryna sprzeciwiająca się dotychczasowej moralistyce politycznej, zalecającej władcom i poddanym uprawianie cnót: „Jak zabezpieczyć władzę przed zepsuciem? Byliśmy dotąd zmuszeni ufać bardziej ludziom niż prawom; ja tego nie chcę. Ludzie prawie wszyscy są źli; bezpieczeństwo dobra publicznego zawarte jest w słusznych prawach, które to sprawiają, że ludzie powstrzymują się od czynienia zła nie z dobrej woli, lecz z konieczności.” Machiavelli pisał to w XVI wieku, kiedy republikańska forma rządów zdawała się zanikać i wszędzie ustępować miejsca scentralizowanej, zbiurokratyzowanej monarchii absolutnej. Tradycja uznała Machiavella za teoretyka despotyzmu za to, że nakreślił portret księcia doskonałego. Z tych powodów nie czytany i nie tłumaczony był w Rzeczypospolitej Polskiej, dumnej z tego, że włoski i francuski despotyzm nie mają przystępu do naszego wolnego kraju. Znalazł się nawet szlachciura, który za czasów Jana Kazimierza wygotował

sążnisty traktat polemiczny z Machiavellem: Cnoty cel, nie ów, do którego zmierza Machiavell i inni w akademiej onegoż promowani politycy, odkryty piórem polskim przez Chrystofa z Piekar Piekarskiego, podkomorzego brzeskiego... Podkomorzy brzeski był pewnie jednym z tych obrońców złotej wolności, którzy w każdym przejawie myśli politycznej widzieli dążność do „absolutum dominium”. W półtora wieku później Stanisław Potocki w odczycie wygłoszonym w Warszawskim Towarzystwie Przyjaciół Nauk nazwał pisma polityczne Machiavella „haniebnym pomnikiem zepsucia i przewrotności czasu” i powiadał jeszcze, że „pisane w dziele Machiavella okropne zasady polityki wieku jego grozę wzbudzają”. Dodajmy, że nie istniał do tego czasu w Polsce ani jeden przekład Machiavella (pierwszy został opublikowany dopiero w 1868 roku), a znajomość włoskiego była przecież niewielka. Dopiero francuskie przekłady (Guiraudeta z roku 1798 i Bonapartego z roku 1816) mogły Polakom to dzieło udostępnić. Ale niezależnie od tych powodów romantycy byli pierwszym pokoleniem intelektualistów i polityków, zdolnym to dzieło czytać i rozumieć.

Z trzech powodów: po pierwsze, Machiavelli za grę uważał bieg historii i działanie polityczne; po drugie, w tej grze wszystkim przyznawał równe prawa; po trzecie, uznawał wszelkie działanie człowieka, w tym także sprawowanie władzy czy walkę o władzę, za wynik jego wolnej decyzji, a inteligencji jego oraz szczęściu przypisywał rękojmię powodzenia. Machiavelli był więc filozofem uzurpatorów. Posłuchajmy go — a raczej podsłuchajmy ich — obydwu partnerów dialogu:

Machiavelli: „Ponieważ zakładamy, że człowiek, który z prywatnej osoby stał się władcą, musiał mieć talent lub szczęście...”

Napoleon: „Talent jest potrzebniejszy od szczęścia; talent rodzi szczęście.”

Machiavelli: „Przechodząc do tych, którzy zostali władcami dzięki swym talentom, a nie dzięki losowi, wymienię Mojżesza, Cyrusa, Romulusa, Tezeusza, jako przykłady najgodniejsze naśladowania...”

Napoleon: „To i mnie dotyczy. Rozszerzyłbym tę listę.”

Machiavelli: „Badając ich działania oraz ich postępowanie, zobaczymy, że od losu otrzymali tylko dobrą okazję, która im dostarczyła sposobów zaprowadzenia w państwie tej formy rządów, jaka im odpowiadała.”

Napoleon: „Nic mi więcej nie trzeba; okazja przyjdzie; bądźmy gotowi do jej uchwycenia.”

Dodajmy, że adnotacje Napoleona pochodzą z różnych okresów jego działalności: najwcześniejsze z czasów, gdy jako generał Republiki dowodził armią we Włoszech, późniejsze z czasów, gdy był Pierwszym Konsulem, następne z czasów Cesarstwa, ostatnie z Elby. Wydawca skrupulatnie rozróżnił poszczególne zapiski i pozaczył je odpowiednimi literami: G., R. C., R. I., E. Cytowane wyżej uwagi poznaczone są wszystkie literami G.: pisał je generał, gotujący się do 18 brumaire’a. Nic też dziwnego, że rozdział o ustanawianiu „nowych księstw”, czyli o uzurpatorstwie, pokryty jest szczególnie gęsto zapiskami generała.

Temat „szczęścia” i przyjaznych okoliczności wraca jeszcze pod koniec rozprawy o zaletach i wadach księcia. „Wiem dobrze, jak wielu miało i ma to przekonanie, że sprawy świata tak są kierowane przez los, czyli Boga, że ludzie mimo całej ich roztropności nie mogą im się sprzeciwić ani ich zmienić.”

Napoleon: „System myślenia leniów albo ludzi słabych. Gdy się ma talent i energię, ujarzma się los najbardziej przeciwny.” (Elba)

Machiavelli: „Według tych ostatnich można by sądzić, że w takich okolicznościach szkoda zachodu i że lepiej wtedy po prostu poddać się przeznaczeniu. Ta opinia przyjęła się szczególnie w naszych czasach z powodu wielkich zmian, które niezależnie od ludzkiego przyzwolenia zaszły i co dzień zachodzą.”

Napoleon: „A widział kto zmiany większe od tych, które ja uczyniłem i które jeszcze mogę uczynić?” (Elba)

Machiavelli: „Sam zresztą przychylałem się do tej opinii. Ponieważ jednak nasza wolna wola wcale nie została unicestwiona, sądzę, że los rozstrzyga o mniej więcej połowie naszych działań, podczas gdy połowa druga, a w każdym razie poważna jej część, zależy od nas samych.”

Napoleon: „Święty Augustyn nie lepiej rozumował o wolnej woli. Moja wolna wola ujarzmiła Europę i Naturę.”

Machiavelli: „Porównuję go (Los — przyp. A. K.) do rwącej rzeki, która gdy się rozgniewa...”

Napoleon: „Ten Los do mnie należy: Los to ja sam.”

Machiavelli: „...zalewa równiny, przewraca drzewa i budynki,

porywa ziemię z jednego miejsca, by ją przenieść na drugie. Każdy przed nią ucieka, wszyscy ustępują przed jej gniewem, nie mogąc mu się oprzeć. A jednak, chociaż straszna jest jej siła, zdarza się czasem, że ludzie, korzystając z czasów spokojnych, zabezpieczają się przed nią, budując tamy i wały...”

Napoleon: „Nie zostawię im na to ani czasu, ani środków.”
(Cesarstwo)

Machiavelli: „...tak, że gdy ona znowu wzbierze, będzie zmuszona spłynąć kanałem albo przynajmniej jej spływ nie będzie tak samowolny i tak szkodliwy.”

Napoleon: „Mój Los nie da się tak poskromić.” (Cesarstwo)

Machiavelli: „Los uderza z siłą tylko wtedy, gdy napotka ducha i charakter zdolne mu się przeciwstawić; a gdy je napotka, odwraca się w inną stronę, gdzie nawet murów obronnych nie przygotowano, i tam szaleje.”

I tak dalej. Już nie bardzo wiadomo, czego to przerośnią jest owa rzeka: losu czy charakteru, i czy los uderza mocniej w tych, co mu się opierają, czy też przeciwnie, ich właśnie oszczędza... Już sam temat był niebezpieczny z punktu widzenia legitymizmu, a dla romantyków, uzurpatorów, podniecający. Pamiętać trzeba o tym, że ruch romantyczny rodzi się w dobie porewolucyjnej i ponapoleońskiej reakcji, w epoce ustalania w Europie porządku politycznego, który na stulecie miał jej zapewnić pokój we wszystkich dziedzinach: pokój między narodami, ponieważ ich sprawy wzięły w swe ręce mocarstwa, i równo, proporcjonalnie do siły, podzieliły sfery wpływów; pokój społeczny, ponieważ prawodawcy, administratorzy i policmajstrzy konflikty klas zgasili siłą prawa

i prawem siły; pokój sumień, dusz, umysłów, ponieważ cały aparat konserwatyzmu religijnego i wychowawczego, naukowego i literackiego, użyty został do uspokojenia wzburzonej Europy. Od Atlantyku po Ural rozciągnęła się jednomyślność dworów, gabinetów, akademii, konsystorz i cyrkułów policyjnych; „Święte Przymierze” było systemem uniwersalnym i totalnym — uniwersalnym, bo obejmującym cały ówczesny świat cywilizowany, i totalnym, bo sięgającym od traktatów między państwami po elementarze. Trwał równo sto lat — od Kongresu Wiedeńskiego do Wojny Światowej, chociaż pękał od samego początku i zdawał się z dnia na dzień rozlatywać. Romantycy byli pierwszym pokoleniem, które doznało jego ciężaru, a zarazem nie doświadczyło jeszcze żadnych nadziei na jego rozbitcie i nie korzystało z żadnych jego dobrodziejstw (bo przecież te dobrodziejstwa z czasem przyszły, w postaci dobrobytu i stabilizacji...).

Byli pokoleniem skazanym na historyczną zagładę. Rodzili się w latach wielkiej wojny. Temu i owemu świtały w pamięci wspomnienia jakichś chwil podniosłych czy groźnych. Mochnacki jako czteroletni chłopczyk przysięgał w kościele w Żółkwi na wierność Napoleonowi. Dwunastoletni Mickiewicz widział w Nowogródku wkraczającą Wielką Armię. Ojcowie mieli za sobą heroiczną przeszłość wojskową czy polityczną, ale pod rządami konstytucyjnego króla, który w Petersburgu panował jako despota, a raz do roku przyjeżdżał do Warszawy odegrać komedię parlamentarną; w urzędniczym państwie, o hierarchii sztywnej, bo układanej i gwarantowanej przez północną stolicę, każdy z tych dawnych bohaterów czy działaczy zmieniał się w pokornego czynownika. Na podstawie wiedeńskich układów

o podziale Europy na strefy wpływów Rosja była jedynym gwarantem polskiej autonomii. Polacy, sprawujący władzę w Królestwie Polskim, mieli mandaty rosyjskie, które uważali za jedynie możliwą formę polskiego bytu politycznego. Tylko z nami, powiadali rodakom, najjaśniejszy pan będzie mówił o swobodach i prawach Polaków. Jeżeli nas zabraknie, car przekreśli wasze istnienie polityczne jednym pociągnięciem pióra. Tępilli każdy przejaw opozycji, bo, powiadali, liberalizm psuje nam opinię na dworze carskim i grozi interwencją. Swój urząd utożsamiali z politycznym istnieniem Polski. Zamknęli drogę kariery młodym i sprowokowali konflikt pokoleń, który rozegrać się musiał na wszystkich płaszczyznach życia narodowego — w wojsku, w opinii, w literaturze, w uniwersytetach — tak jak na wszystkie płaszczyzny rozciągała się polityka świętego, zaklętego „status quo”.

Królestwo Polskie było państwem lękliwych starców; panowała tu nuda i bezczynność. Tylko literatura przyciągała co żywsze umysły.

Dziwne są w tym świecie zmiany i zwyczaje,
Każdy prawie poeta próżniakiem się staje,
A co gorsze, na odwrót idzie rzeczy postać,
Dziś prawie każdy próżniak poetą chce zostać.

Tak pisał jeden z pomniejszych literatów warszawskich w żartobliwym liście poetyckim do przyjaciela. Kto żyw opuszczał Warszawę — za granicę, jak Podczaszyński (do Paryża), Goszczyński (do Grecji — na ochotnika walczyć

w powstaniu) czy Antoni Malczewski, albo znowu na wieś. Jedno po drugim znikają pisma literackie. Był taki rok (1824), kiedy nie było w Warszawie ani jednego dziennika zajmującego się krytyką literacką. Literatura nie wzbudzała namiętności, bo dla tych, co się nią zajmowali, była czynnością zastępczą; ich namiętnością prawdziwą była polityka, to jest dążność do zmian, to jest sztuka dokonywania zmian w ustroju panującym i w wytyczonym biegu historii, polityka — to jest wspólnota ludzi mających jednakie czy zbieżne ambicje i cele.

Dla nich właśnie Machiavelli był odpowiednią lekturą. Nie dziwię się, że egzemplarz z „Xięgozbioru Radcy Stanu J. K. Szaniawskiego” jest taki czysty. Radca miał już za sobą takie lektury, takie aspiracje i takie plany. Za to z takim samym egzemplarzem nie rozstawał się podobno nigdy Maurycy Mochnacki; trzymał go na biurku wraz z hamletyczną trupią czaszką oraz egzemplarzem Kazań sejmowych księdza Piotra Skargi.

W ciągu kilku lat pokolenie skazane na zagładę historyczną stało się w historii najaktywniejszym i najbogatszym w talenty, indywidualności, dramaty. Życie nagle przyspieszyło biegu i wszystkim zdolnym ludziom ofiarowało owe „szczęśliwe okazje”, o których mówił mistrz z Florencji. Kto kogo do życia powołał: okazje ludzi zdolnych do ich wykorzystania czy ludzie zdolni sami sobie stworzyli owe okazje; czy idee rozjaśniły mrok ówczesnego świata, czy mroki rozproszyły się, ukazując idee gotowe do życia — to pytanie, na które każde pokolenie odpowiada wedle swych aspiracji. Pokolenie romantyczne odpowiedziało spiskiem belwederskim, Dziadami, Kordianem, Marią, muzyką Szopena. Co się naprawdę stało w ciągu tych lat

kilku, jak wędrowały książki i idee, jak się odnajdywali ludzie wzajem sobie potrzebni, jak dojrzewali do politycznej i literackiej wielkości... Myślę, że ten Machiavel commenté par Buonaparte jest jednym ze śladów, jedną z iskiek ulatujących w powietrze z nie zagasłych jeszcze popielisk wielkiej epoki.

Koniec Wersji Demonstracyjnej

Dziękujemy za skorzystanie z oferty naszego wydawnictwa i życzymy miło spędzonych chwil przy kolejnych naszych publikacjach.

Wydawnictwo Psychoskok

